

# Wojciech Sadowski

---

## W sprawie publikacji Instytutu Zachodniego: Recenzja polemiczna

---

Nadwarciański Rocznik Historyczno-Archiwalny 2/6, 159-168

---

1999

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

NADWARCIAŃSKI ROCZNIK  
HISTORYCZNO-ARCHIWALNY  
NR 6/2

Wojciech Sadowski  
Jenin

**W sprawie publikacji Instytutu Zachodniego:  
Recenzja polemiczna.**

*Wokół niemieckiego dziedzictwa kulturowego na Ziemiach Zachodnich i Północnych.* Pod red. Zbigniewa Mazura. Poznań: Instytut Zachodni, 1997, ss. 580 + XXV + 37 il.

Publikacja została zredagowana w ramach opracowań ogłaszanych na temat stosunków Polaków do Niemców i pozostawionej przez nich bagażu na ziemiach przekazanych Polsce na mocy porozumienia poczdamskiego z 1945 r. Wykaz zawiera 19 nazwisk autorów z Poznania, Opola, Gorzowa, Witnicy, Legnicy, Zielonej Góry, Wschowy i Szklarskiej Poręby. Opracowali oni 20 wypowiedzi (nie licząc wstępu) zgrupowanych wokół 7 następujących problemów: Przeszość i teraźniejszość; Tradycja lokalna; Oswajanie krajobrazu kulturowego; Zabytki; Pomniki; Nazewnictwo; W prozie i czytankach szkolnych; Niemcy wobec dziedzictwa. Opracowanie kończy znakomite, siedmiostronicowe, streszczenie w języku niemieckim oraz niezbędny indeks nazw geograficznych.

Rozważania poszczególnych autorów dotyczące historii najbliższego im terenu „Ziem Odzyskanych”, jak też tutejszej lokalnej kultury współczesnej wydają się dotyczyć ważnego i ciągle aktualnego przedmiotu zainteresowań naukowych, społecznych i politycznych. Zróżnicowany charakter poszczególnych wypowiedzi dowodzi rozmaitych postaw w odniesieniu do tego ważkiego problemu. We wszystkich widać natomiast wyraźną ewolucję w interpretacji zdarzeń, które miały miejsce w latach 40. Bardzo często zawarta w nich wykładnia w znaczący sposób przeczy tezom wysuniętym przez założycieli Instytutu. Zrozumiałe staje się to, gdy zważy się, iż zmieniły się czasy i sojusznicy. Artyku-

ly poszczególnych autorów czynią wrażenie, iż są opracowaniami dającymi odpowiedź na zadane im przez redaktora tomu pytania. Temperatura ich uzależniona jest od stopnia zrozumienia powojennego procesu historycznego, „uzbrojenia” teoretycznego, doświadczenia zdobytego na Ziemiach „Odzyskanych”, sposobu postrzegania zjawisk społeczno-politycznych, jak też reakcji na współczesność. Wykonanie wstępu do tego typu zbioru wymagało przeto od Zbigniewa Mazura sporego wysiłku i poważnej wiedzy teoretycznej, aby spiąć go w jedną całość. Musiał poczynić dużo starań, aby tak rozmaite przesłanki pogodzić, a wszelkie niedomogi zatuszować. Twórca wstępu mistrzowsko kreśli meandry powojennych nastawień wobec zagadnień poruszanych w wypowiedziach poszczególnych autorów tomu. Szkoda, tylko, że zlekceważył powody natury psychologicznej, dla których świadomie polska propaganda z czasów PRL wykreśliła ze środków masowego przekazu fakt pobytu tutaj Niemców. Trzeba było jednak przekonać kilka milionów ludzi, aby zechcieli tu przyjechać, a tym samym uniknąć — być może — podróży w odwrotnym kierunku, na ziemie, których Stalin miał pod dostatkiem. Ciekawe, o jakim to dziedzictwie dyskutowalibyśmy wówczas! Dobrze więc się stało, że Polska powojenna propaganda, trzeba przyznać bardzo skutecznie, stosowała rozumowanie oparte na tak zwanej konieczności i powinności.

Autorowi wstępu nie udało się uniknąć grzechu zasiania niepokoju wśród wiekowych już dziś osadników rekrutujących się z dawnych kresów. Usprawiedliwieniem dla autora może być jedynie fakt, że dla ich obecności na nowych ziemiach trudno znaleźć zadawalające uzasadnienie, podobnie jak i dla niemieckich mieszkańców — konieczności ich opuszczenia. Choć ci drudzy powinni posiadać świadomość, że są sami przyczyną skutku, którego tak boleśnie musieli doświadczyć. Polskie osadnictwo na Ziemiach Zachodnich i Północnych jest niedostatecznym równoważnikiem uczynionym przez Stalina, Churchilla i Roosevelta za terytoria zabrane na wschodzie.

Wiele mieszanych uczuć budzi więc stwierdzenie Zbigniewa Mazura: *na tereny odebrane Niemcom i zwane wówczas Ziemią Odzyskanymi* (s. I). Wypowiedź tę odczytać można, jakoby nieprawnie zostały przekazane Polsce i oprócz tego fałszywie nazwane „Odzyskanymi”. Wprawdzie autor miał prawo nie prezentować szerszego kontekstu wyjaśniającego, jednakże powinien był dodać, iż mieliśmy ku temu właściwą legitymację. Warto tu przez moment zastanowić się, czy jesteśmy w pełnym tego słowa znaczeniu dziedzicami, tym bardziej dobrowolnymi (a charakter dziedziczenia taki winien być), niemieckiej kultury. Przecież to

nie był dobrowolnie przekazany spadek, a raczej przymusowa stalinowska darowizna. Nie mieliśmy tu do czynienia z tradycją w sensie opadania elementów życia duchowego i materialnego z pokolenia w pokolenie. Dokonywaliśmy raczej zwyczajnego zagospodarowania materii pozostawionej przez obcych i wrogich nam w tym czasie Niemców. Był to przejaw konieczności i wynikającej z tego naszej potrzeby. Objaw zwyczajnego szacunku do wszystkiego, co powstało dzięki ludzkiej pracy, szacunku ludzi mocno spracowanych. Chodziło po prostu o korzystanie z zastanych dóbr materialnych, które po nabraniu rodzimej mocy stawały się dobrem własnym, a nie dziedzicznym. Akceptacji nie podlegały wytwory noszące znamiona typowe dla niedawnego wroga. Gorzowska katedra, dowodzą przybysze, jest nasza (nie utożsamiać z polską), a nie niemiecka tylko dlatego, iż została „zamodlona” przez polskich księży. To nic, że zbudowali ją Niemcy, ale oni zrobili ją dla tego samego Boga, który jest i naszym Bogiem — uzasadniają Wilniuchy. Tego typu wypowiedzi są oczywiście mało precyzyjne i wymagają ciągłego zastanawiania się nad ich uzbrojeniem teoretycznym. Nie wiadomo też, jak długo one będą trwały, tym bardziej że pokolenie urodzone w Gorzowskim czy nawet Wrocławskim lub Koszalińskim ma całkowicie odmienną już orientację. No, ale wątpię czy interesuje ich dziedzictwo niemieckie.

Rozdział pierwszy publikacji poświęcony dawnej i współczesnej historii jest pomysłowo zbudowany z wypowiedzi trzech autorów. Prezentuje on szeroki wachlarz zagadnień: od bitwy pod Legnicą (1241 r.) poczynając, a na olbrzymiej polsko-niemieckiej wystawie w Bytomiu kończąc. Czyżby należało wyciągnąć wniosek, iż spór o przeszłość Ziemi Zachodnich nie ma dziś większego znaczenia, podobnie jak dowodzenie, że w bitwie legnickiej brało udział wyłącznie rycerstwo polskie przeciw nieprzeliczonej hordzie tatarskiej. Bitwa pod Legnicą nabiera w tym przypadku wymowy symbolicznej sprowadzającej się do faktu obrony Europy — dziś już „wspólnej”.

Wracając do wystawy, którą miałem możliwość obejrzeć, to należy razem z autorką rozprawy powiedzieć, że rzeczywiście pokazała ona obraz *stosunków polsko-niemieckich różnymi odcieniami, półtonami dostrzegania po obu stronach rzeczywistego różnicowania skomplikowanych procesów społecznych, politycznych, kulturowych* (s. 79).

Druga część publikacji poświęcona jest wybranym zagadnieniom „Tradycji lokalnej”. Omówione w niej przykłady, choć niezwykle interesujące, mogą budzić jednak wątpliwości, czy są w emocjonalnym związku ze społecznością Wschowy, Bytomia Odrzańskiego i Szklarskiej Po-

ręby. Obawiam się, że w poglądach mieszkańców tych miast wiadomości na temat cmentarza, gimnazjum niemieckiego względnie „kolonii artystycznej” nie są pielęgnowane, a tym bardziej ich materialne pozostałości — szanowane. Pomieszczone tu 3 opracowania przynoszą jednak obfity, interesująco napisany materiał dotyczący lokalnych historii. Godny uwagi jest opracowany z pasją artykuł nieżyjącego już Władysława Korcza, a dotyczący „Schonaichianum”. Opisanie zaś przez Marka Chwistka zabytkowego cmentarza we Wschowie budzi refleksję na temat naszego bezmyślnego stosunku do dawnych nekropolii, które mogą być, a bardzo często i są, wytworami sztuki. Autor zastanawia się także nad skutkami szkód wynikających z naszej znieczulicy w tym względzie. Niejako chce powiedzieć, że skoro tak prosta sprawa nastrocza tyle kłopotów, to jak można się dziwić ogromowi problemów stojących przed ochroną wielokrotnie trudniejszych obiektów.

Przedłużeniem tej problematyki jest rozdział IV prezentujący kwestie związane z ochroną dóbr kultury pozostawionych przez Niemców. Uwaga wytrawnych znawców tych zagadnień, jakimi są Stanisław Kowalski i Jan Muszyński, skupia się wokół udreki, jaką musieli znosić, chcąc uczciwie pełnić funkcje konserwatora zabytków. Pokazują przyczyny, które bardzo często wynikały z pobudek irracjonalnych, popadania w ruinę budowli sakralnych i świeckich. Z rozprawy tych autorów można wyciągnąć wniosek, że nasz wkład w ocalenie obrazu kulturowego Ziemi Zachodnich nie powinien polegać na wmawianiu dzisiejszym jej mieszkańcom poczucia się do tradycji, swoistego continuum narodowościowego czy rodzimego, lecz na budzeniu zrozumienia specyfiki terenu i wynikającego z tego szacunku, jaki winien cechować obecnych włodarzy tych terenów wobec pozostawionej przez poprzedników kultury. Solidne i wnikliwe opracowanie tych zagadnień czynią ją książką wartą poznania przez tych wszystkich, którzy troszczą się o zachowanie pamiątek przeszłości. Przy tym ciągle musimy pamiętać, iż te same problemy posiadają Niemcy na własnym terenie, chociażby we Frankfurcie nad Odrą.

Do tej samej grupy tekstów należy zaliczyć referaty Zbigniewa Mazura i Danuty Berlińskiej umieszczone w rozdziale piątym, który zatytułowano „Pomniki”. Mimo wspólnego nagłówka wydają się one dzielić na dwie części. Mazur skupia swą uwagę na polskich symbolach “upamiętniających obozy jenieckie i masowe mordy dokonane przez Niemców w czasie II wojny światowej” (s. 313), a Danuta Berlińska omawia w bardzo interesujący sposób symbole pozostawione przez Niemców na Śląsku Opolskim. Dzieje tych znaków są równie zawile jak miejsc,

na których je wzniesiono. Reakcje, jakie one budzą, są odbiciem problematyki nurtującej społeczeństwo Opolszczyzny, ukazują miraż integracji. Artykuł jest cennym przyczynkiem do poznania historii i stosunków narodowościowych Opolszczyzny. Oba referaty są niezwykle zajmujące i czyta się je z dużym zaciekawieniem.

Zagadnienia związane z definitywnym uznaniem granicy polsko-niemieckiej oraz problemy wynikłe z istnienia mniejszości niemieckiej w Polsce są materiałem opracowania dokonanego przez Marię Tomczak. Autorka w artykule „Przesiedleńcy wobec wyzwań lat dziewięćdziesiątych (polityka i kultura)” z literackim wdziękiem i naukową precyzją porządkuje naszą wiedzę na te tematy czyniąc je jeszcze bardziej zrozumiałymi. Beznamiętne tropienie faktów i sensów tych zagadnień podnosi merytoryczną wartość jej rozważań. Tomczak w niedwuznaczny sposób pokazuje zadania, jakie spełniają organizacje przesiedleńcze. Organizacje te, walcząc o zachowanie pozostawionych na wschodzie dóbr kultury, podejmują zasadnicze problemy związane z „umacnianiem poczucia wspólnoty i uświadamianiem odrębności tradycji poszczególnych regionów” (s. 544). Bardzo zajmujące i pouczające są wiadomości, które Tomczak podaje nam w podrozdziale III (s. 545-551). Kontrowersje wokół poruszanych tam zagadnień należy uzupełniać żądaniami przesiedleńców kierowanymi do rządu Niemiec, aby swoje poparcie dla Polski i Czech przy wstąpieniu do struktur europejskich uzależnił od przyjęcia odpowiedzialności za „wypędzenie” Niemców i od stworzenia podstaw dla wyrównania szkód na zdrowiu, życiu i własności Niemców. Katalog żądań zawiera również propozycję dochodzenia karnego oraz ukarania zbrodni popełnionych w związku z „wypędzeniem”.<sup>1</sup> Kontaminacja tych wiadomości z wypowiedziami pozostałych autorów tego tomu daje bardzo trudny materiał do poważnego przemyślenia.

Można by rozwijać zaledwie zasygnalizowane w recenzowanej rozprawie wątki, snując refleksje o inicjatywach poszczególnych ziomkostw, podejściach do kultury byłych Niemiec wschodnich, o współpracy między dawnymi i obecnymi mieszkańcami Ziemi Zachodnich etc. etc. Artykuł Marii Tomczak jest bowiem rozprawą otwartą, zmuszającą czytelnika do kontynuacji przemyśleń.

Przy omawianiu treści tomu pominąłem bliski mi temat pomieszczonego w rozdziale III, a zatytułowanego „Oswajanie krajobrazu kulturowego”. Teksty tutaj zebrane niejako dotyczą mojej osoby, ponieważ jestem

---

<sup>1</sup> Biuletyn „Märkischer Informationsdienst” nr 7/97.

kresowianinem zamieszkującym w Gorzowskiem od 17 maja 1946 roku. Jest to więc mój region, moja ziemia i już moje cmentarze i moje pomniki, wyjąwszy te, które opisała Danuta Berlińska, a które mi nie przeszkadzały — choć na początku przerażały. Moje też są drogi, po których grasują już dziś „zabużańskie” czarty, a na mokradłach kwilą dusze tu już urodzonych, lecz nie ochrzczonych polskich dzieci. Mam również spory wkład w nadaniu polskiego charakteru memu Gorzowowi, któremu zawsze dodaję przymiotnik „Wielkopolski”. Mam również udział w podniesieniu do właściwej rangi pomnika uwieczniającego papiernię w Pulverkrug koło Cybinki. To połączenie poniemieckiego Landsberga z polskim Gorzowem stworzyło nową, interesującą jakość. Proces transformacji Gorzowskiego rozpoczął się od pierwszych dni zasiedlenia. Polskość „gwarantowana” była przez mocarstwa zachodnie, Związek Sowiecki i jego armię oraz masową wymianę ludności. Do tej wielkiej „wędrowki ludów” naród polski został przymuszony. Wokół tego problemu musiały więc koncentrować się prace polityczne polskich powojennych rządów.

Rozdział III otwiera merytorycznie solidny artykuł Dariusza A. Rymara omawiający „Pogranicze santockie na przełomie epok”. Autor wyklada swoje racje kierując się wyłącznie faktami, które starannie prze-myślał. Wyrażane przez niego twierdzenia są w zupełności uzasadnione oraz pozbawione wszelkich niejasności. Wyłożona w opracowaniu polemika „pomiędzy historykami polskimi i niemieckimi” w sposób beznamiętny przytacza argumenty jednych i drugich pozostawiając czytelnikowi wyciągnięcie wniosków.

Prezentowany tu zbiór myśli Zbigniewa Czarnucha tkwi natomiast, takie przynajmniej odnoszę wrażenie, w potocznej, a zarazem skrótowej opinii. Pomieszczona na 22 stronach potoczna narracja jest typowo dziennikarska. Traktować ją należy jako typowo osobistą odpowiedź daną na postawione przez redaktora tomu pytanie. Wypowiedź Czarnucha — przyznaję szczerze — rodzi we mnie sprzeciw, któremu daję wyraz w dłuższym uzasadnieniu. Wymagają tego też liczne potknięcia. Zastrzeżenia moje wynikają z kontrowersji związanych z faktem objęcia tych ziem przez Polskę i wysiedleniem Niemców za Odrę. Z Czarnuchem łączy mnie jednak walka z wszelkimi przejawami nacjonalizmu.

Już w pierwszych zdaniach swojej relacji wytyka On (s. 169) frontowym żołnierzom 17 PP II Armii WP wykucie na tzw. „Moritzstein” koło Lemierzyc (w pobliżu obozu kaźni) niby to błędnego zawołania „Myśmy tu nie przyszli — myśmy powrócili”. W jego przeświadczeniu „antropolog kultury” może w tym fakcie dopatrzeć się magicznego za-

klęcia. Powołanie się na „antropologa” i „magię” uważam za błędne. Być antropologiem kultury znaczy przecież tyle co znać kulturę i rozumieć płynące z niej przesłanie. Być antropologiem kultury polskiej równa się utożsamieniu z jej najgłębszą tajemnicą. Z tego to powodu jest to profesja szczególna i bardzo trudna. Użyte zestawienie w kontekście całego artykułu Rosjanin określiłby *nie przicom*.

Rewelacją ma również być ponoć odkrywcze stwierdzenie (s. 170), iż przymusowi przesiedleńcy z kresów są „uciekinierami” zza Buga chroniącymi się tutaj (w Gorzowskiem — WS) *przed terrorem ukraińskich nacjonalistów*. Zapewniam Pana Zbigniewa, iż Ojciec mój uciekinierem nie był, a w powiecie wilejskim Ukraińców nie było. Zdarzały się natomiast przypadki, kiedy to niemieccy sługusi z okolic Wilejki uciekali i chronili się właśnie w Gorzowskiem. Fakt wyjazdu Polaków z Lwowskiego, Tarnopolskiego, Stanisławowskiego byłoby również trudno określić jednoznacznie ucieczką, choć trzeba przyznać, że opuszczali swoją ojcowiznę w popłochu, a oficjalny wyjazd określali jako „ucieczkę”, lecz przed kołchozami. Być może, że uciekaliby (i to nie tylko Polacy), gdyby nie sowieckie kordony na granicy i wymagane przez odpowiednie służby dokumenty przyzwalające na wyjazd. Termin „uciekinierzy” nie może przeto być alternatywnym określeniem „wysiedleńców”. Trzeba tu powiedzieć, iż Sowieci byli zainteresowani w szybkim wyjeździe Polaków, gdyż rozwiązywali tym samym problem ludności polskiej, zwalniali sadyby potrzebne lokalnej ludności, umożliwiali swobodę w społeczeństwie rolnictwa na obszarach należących do II Rzeczypospolitej.

Nie bardzo również wiadomo, co Autor chce powiedzieć w dyskwalifikującym polskie władze stwierdzeniu (s. 171), że Niemców „przepędzono na drugi brzeg (Odry — WS) bez zastanowienia się, co dalej będzie się z tymi ludźmi działo”. A niby dlaczego miały one (m. in. burmistrz Witnicy) o tym myśleć i przy tej okazji ingerować w kompetencje władz niemieckich, a właściwie rosyjskich. Poza tym można dodać, że zgodnie z umową poczdamską i późniejszymi porozumieniami troskę o los przesiedlonych Niemców przejęły władze wojskowe stref okupacyjnych.

Dzielo przejęcia przyznanych Polsce ziem na zachodzie i północy musiało wiązać się z wysiedleniem Niemców chociażby z tego powodu, aby umożliwić Polakom ich zasiedlenie i zlikwidować jeszcze świeże negatywne napięcia emocjonalne istniejące między tymi nacjami. Pośpiech w usuwaniu Niemców był uzależniony również od tempa wysiedlania Polaków z obszarów wschodnich. Dlatego uważam, że trudne z dzisiejszej perspektywy akt przesuwania ludności dzielić na „dziki”



„cywilizowany”, jak chce tego Autor (s. 171), powtarzając za Hieronimem Szczegółą. Trzeba pamiętać, że pod wpływem wydarzeń politycznych lat 90. kryteria oceny zmieniły się. Moralność „frontowa” zastąpiła „cywilna”. Pod uwagę zaczęto brać żal, ból i tęsknotę wysiedlonej stąd ludności i jest to oczywiste i zrozumiałe. Nowe kryteria oceny nie powinny jednak mieć wpływu na naszą ocenę bojowników z lat wysiedleń, na przewartościowanie naszej (polskiej) o nich opinii. I wreszcie, dlaczego to Czarnuch jednych określa jako „uciekierów”, a drugich jako „dziko wysiedlonych”?

Szybkie zmniejszanie się możliwości osiedleńczych zmuszało lokalne władze do osadzania w dużych obejściach po dwie lub trzy obce sobie rodziny, co nie odpowiadało nawykowi przybyszów<sup>2</sup>. Gospodarskie niezadowolenie wynikające z tego tytułu (s. 172) nie miało nic wspólnego z brakiem chęci do „otoczenia opieką obcych im ze względu na poziom kulturowy” zagród. Autor winien wiedzieć, iż na ziemiach kresowych byli również ludzie majątni, którzy rozporządzali zdobyczami najnowszej techniki rolniczej. Przytoczony cytat „pańskie fanaberie” winien więc mieć wskazanie przedstawiciel jakiej warstwy społecznej je użył. Trudno jednak byłoby znaleźć osadnika, który szukał obejścia przypominającego jego „ubogie gospodarstwo”. Jest to bowiem sprzeczne z naturą ludzką. Owszem, wędrowano po okolicy w poszukiwaniu rodziny, znajomych i całych, samodzielnych gospodarstw, ale nigdy — by znaleźć kurną globitkę podobną do pozostawionej w rodzinnych stronach,

Całkowicie niezrozumiałe staje się również połączenie tego zjawiska z wypowiedzią zaczerpniętą z „Biuletynu Tygodniowego Starostwa w Gorzowie” (nr 20/46) w sprawie usuwania niemieckich napisów. Zachodzi pytanie, czy można intencjonalnie różne argumenty ze sobą zestawiać. Lektura wspomnianych biuletynów dowodzi raczej, że ówczesne władze walczyły o szybką adaptację przybyszów.

Należy również wnieść zastrzeżenie odnośnie rozszerzenia nazwy rodzaju materiału i sposobu wypełniania przestrzeni międzybelkowej na całe budownictwo typu szkieletowego, które Autor określił mylnie jako „konstrukcję szachulcową” (s. 187). Budownictwo tego typu

<sup>2</sup> Dowodem tego może być m. in. pismo burmistrza Witnicy z 28 X 1946 roku adresowane do starosty w Gorzowie Wlkp. Archiwum Państwowe w Szczecinie, Oddz. w Gorzowie, Zarząd Miejski i Miejska Rada Narodowa w Witnicy, sygn. 8. Przy okazji należy dodać, iż wójt Witnicy 4 czerwca 1945 roku w porozumieniu z Komendantem Wojskowym obwieścił w języku polskim i niemieckim *ze pod karą śmierci zabrania się samowolnej rekwizycji wszelkiego rodzaju mienia stanowiącego własność osobistą poszczególnych osób wszystkich narodowości*. Tamże, sygn. 3.

przybysze z kresów potocznie faktycznie nazywali „pruskim murem” mając na względzie jego negatywną ocenę. Solidnym budynkiem według przesiedleńców jest obiekt murowany lub cały z drewna, najlepiej dębowego. Poprawną charakterystykę tego gatunku budowli daje Andrzej Brencz (s. 201), omawiając wyniki badań w Santoku. Mylna jest również informacja, jakoby spichlerz nad Wartą (dziś muzeum) chciało rozebrać z przesłanek ideologicznych. Walkę o ocalenie tego obiektu toczyło całe środowisko kultury i to bez względu na przekonania ideologiczne lub polityczne oraz narodowościowe. Do grupy walczących można zaliczyć zarówno księdza jak i późniejszego sekretarza KW PZPR. Prymitywni zwolennicy jego zburzenia kierowali się stanem technicznym, kosztami remontu oraz potrzebą przebudowy ciągu komunikacyjnego. Ludzie tej kategorii z taką samą pasją niszczyli zabytki w każdej innej dzielnicy Polski.

Do kategorii dezinformacji należy także sugerowanie, że kościół we wsi Pyrzany rozebrano (s. 179) na mocy uchwały Prezydium Rządu nr 666 z 1955 roku. Znacznie przed wymienionym rokiem czerwonoarmieści zburzyli jego wieżę, a w okresie późniejszym dzieła zniszczenia dokonali sami przybysze ze wsi Kozaki, którzy nie chcieli modlić się w luteriańskiej świątyni. Poprawny opis tego faktu dał zresztą sam Czarnuch w artykule pt. „Przesadzanie trzciny” zamieszczonym w piśmie „Trakt” nr 11/97.

Nieściła jest też informacja, że już w 1945 roku istniała w Gorzowie Kuria Biskupia (s. 185). Autor i tym razem posłużył się wiedzą obiegową, która w ten sposób określała siedzibę Administracji Apostolskiej. Kuria Biskupia w Gorzowie zaistniała dopiero w czerwcu 1972 roku, kiedy to Papież Paweł VI ustanowił diecezję gorzowską.

Porównując artykuł Zbigniewa Czarnucha z wypowiedziami innych autorów podkreślić należy jego dążność do zamanifestowania rzekomo nowatorskiej postawy. Jest to tymczasem opracowanie oparte w większej części na odczuciach, a nie na analizie faktów. Autor posługuje się zbyt dużą liczbą jednostkowych i przypadkowych przykładów, które nie upoważniają do generalizacji twierdzeń. Niech tu będzie przykładem fakt przypisania zasługi pisania prawdy o Gorzowskiem wyłącznie ludziom skupionym wokół „Ziemi Gorzowskiej” i w szeregach Towarzystwa Przyjaciół Archiwum i Pamiątek Przeszłości, świadomie zapominając o wcześniejszych usiłowaniach osób związanych ze „Stolikiem nr 1” funkcjonującym w KMPiK; mam tu na uwadze Mieczysława Rzeszewskiego, Bogdana Kunickiego oraz Zdzisława Morawskiego. Morawski jako prezes Deutsches Polnisches Literaturbüro doprowadził nawet do ukazywania się literackiego magazynu polsko-niemieckiego „Die Fähre — Prom”.

Natomiast Andrzej Brencz, którego rozprawa kończy rozdział III, opowiada w swoim sprawozdaniu. „Z badań etnologicznych na Środkowym Nadodrzu” głównie o Santoku, choć szereg wniosków opiera na wiadomościach zdobytych w trakcie badań w Pyrzanach, Łęgowie i Głuchowie. Raport dotyczy powiązania procesu osiedleńczego z odbudową, a właściwie z zagospodarowaniem tych wsi. Zamiar Autora ujęcia tego problemu w sposób integracyjny jest w pełni słuszny, choć zapewne przysparzał niemało kłopotu. Mimo tej trudności należą się Autorowi wyrazy aprobaty za kolejne spojrzenie na bogatą problematykę tkwiącą zwłaszcza we wsi Santok. W ten sposób powstał następny etnograficzny dokument epoki dotyczący tej historycznej osady.

Dobrze się zatem dzieje, że coraz częściej antropologowie kultury penetrują Gorzowskie. Jeszcze lepiej byłoby, gdyby zechcieli badane miejscowości właściwie sytuować. Trudno bowiem Santok wpisywać w obszar środkowego Nadodrza — chyba, że uczynimy to z pozycji poznańskiej metropolii. Błędu tego nie popełniali jednak funkcjonariusze urzędu wojewody poznańskiego w 1945 roku. Warto też znać różnicę jaka istniała między obecnym Muzeum Grodu Santok a niemiecką wystawką, która miała miejsce w tzw. „Gąsiorkowej wieży”<sup>3</sup>. Niemiecka ekspozycja w tej budowlu była rodzajem wystawki propagandowej przypominającej izbę pamięci.

Wdzięczny też byłbym Autorowi za wskazanie mieszkańca Santoka zajmującego się kolekcjonowaniem zabytkowych obiektów. Moje poszukiwania nie dały rezultatu. Ale to już inna sprawa, należąca do gatunku retorycznych.

Kończąc podkreślić należy, że dobrze uczynił Zbigniew Mazur, wydając tom złożony z opracowań lokalnych autorów oraz badaczy profesjonalnie zajmujących się określoną problematyką, a zatrudnionych w instytucjach naukowych. Jest to decyzja przemyślana, pozytywna oraz kształcąca lokalnych badaczy przeszłości. Należało tylko dokonać staranniejszej korekty merytorycznej przedłożonych przez nich opracowań.

Wielorakie spojrzenie na postawione przez redaktora zagadnienia umożliwi czytelnikowi poznanie ważnych kwestii Ziemi Zachodnich i Północnych zarówno od wewnątrz jak i zewnątrz. Moją wypowiedź traktuję jako reakcję czytelnika interesującego się niewielkim skrawkiem tych ziem. Formuła temu powzięta przez jej redaktora okazuje się pojemna i nasuwa sporo refleksji.

---

<sup>3</sup> Przedwojenną budowlę widokową ulokowaną na wzgórzu nazwałem „Gąsiorkową wieżą” z racji, iż właścicielem jej jest Jerzy Gąsiorek z Gorzowa Wlkp., który również ma w niej izbę pamięci.